

timszel

Miesięcznik Akademicki

Łódź, grudzień 1992, numer pierwszy

*W związku ze zbliżającymi się Świętami
Bożego Narodzenia składamy naszym
Czytelnikom moc z serca płynących
życzeń. Życzymy Wam, Kochani,
słonecznych dni i księżycowych nocy,
krótkiej drogi życiowej (z cudowną
niespodzianką za każdym zakrętem),
zapachu sosnowych igieł, płaczu (tylko ze
szczęścia) i cichej zadumy pod choinką...*



Tak. W zasadzie powinienem się na Was obrazić, że tak szybko przewróciliście stronę pierwszą naszego pisma, może nawet nie zauważyliście jego tytułu?

(gwałtowny szelest kartek, rzut oka na niezrozumiały wyraz widniejący na honorowym miejscu i zawiedziony powrót na niniejszą płaszczyznę)

Teraz spodziewacie się zapewne, że aż do końca strony będę wyjaśniał skąd, po co, dlaczego i w ogóle ...

Nie. Tytuł niech będzie dla Was wyzwaniem. Co oczywiście nie oznacza, że tym samym ogłaszamy Wielki Konkurs na odgadnięcie jego znaczenia. Ba, nie proponujemy Wam także wymyślenia nowego tytułu ani wypełnienia treścią tych kilku, z alfabetu łacińskiego wziętych, liter. Wziętych jednak nieprzypadkowo, o czym chcemy Was przekonać na kartkach następnych.

Jeżeli któryś z artykułów poruszy w Was jakąkolwiek strunę w napiętym instrumencie duszą zwanym, to każda literka aż się wciśnie w papier z zadowolenia (choćby technika powielania tego pisma nijak się ma do wkłęsłodruku). A jeżeli Wasze zdanie na poruszony temat rozmija się z wydźwiękiem któregoś z wytworów naszych piór, to całe strony zrzucają z siebie farbę drukarską czyniąc, już w najbliższym numerze, miejsce na Twoją opinię.

Tu powinien wykwitnąć manifest ideowy lub okrągłe zdanie, kończące się stwierdzeniem: "..., a resztę dopisze życie". A nieprawda - resztę dopiszemy wspólnie - Wy i my. Otwieramy serca, uszy i oczy na Wasze pomysły, ale nie przychodzimy z pustym workiem, wszak niedługo Gwiazdka (co pod choinką - strona 12). Serwujemy dzisiaj dwie rozmowy: o gospodarce i polityce, z ministrem, któremu płacą za wyprzedzanie czasów, i o rodzinie - z małżeństwem, które może mieszkać tuż obok Was. Ponadto mrożąca krew w żyłach (niektórych członków redakcji) pochwała wegetarianizmu, luźne uwagi o pogodzie, absolwencka dola piórem młodego tatusia spisana i głos w dyskusji o miejscu Kościoła Katolickiego w naszym życiu. Szczegółnej uwadze polecamy rubryki, których obecność w każdym numerze będzie obowiązkowa (chyba, że którejś dacie urlop bezpłatny). Dla amatorów zdzierania butów - Tuptuś, a dla snobów i całej reszty - rubryka kulturalna.

Czekamy na Wasze opinie i polemiki (naczelnego aż trzęsie na myśl o wyrzuceniu mięsa z diety). Łapcie wiatr w plecy i wypisujcie atrament. Jutro będziemy tygodnikiem, dnia siódmego dziennikiem i kolejka naszych czytelników nie tylko osiągnie Pireneję, ale trzeba będzie wybudować most na Pacyfiku (w momencie przekraczania strefy bermudzkiej zaczniemy ukazywać się także po południu). Póki co

Milej lektury!

Sporo się "nagzarpaliśmy"

z Anią i Piotrem rozmawia Lila Nowacka

Lila: Czym jest rodzina dla matki i żony, dla zwykłej kobiety w końcu XX wieku? - z tym pytaniem zwracam się do Ani - żony, matki trojga dzieci.

Ania: Rodzina dla mnie jest przede wszystkim powołaniem, które odkryłam jako powołanie Boże, do zrealizowania Jego planu wobec mnie. Chciałam służyć Bogu i tym najbliższym, których mi dał. Jest to najważniejsza rzecz w moim życiu. Praca i inne sprawy są podporządkowane rodzinie. Zresztą, tego uczyć się w trakcie. To nie jest tak, że człowiek wchodzi w rodzinę i zdaje sobie doskonale sprawę z tego, czym ona jest i jak należy podchodzić do tego daru, skarbu, jakim jest rodzina. Ja to właściwie cały czas odkrywam, ten dar - bo to można i tak określić: że rodzina jest darem.

Lila: Powiedziałaś, że Twoja praca i wszystkie inne sprawy są podporządkowane rodzinie, że są na drugim miejscu. A przecież skończyłaś studia. I nie raz, nie dwa słyszy się takie słowa: *"dlaczego ja mam być kurą domową, przecież jestem magistrem, przecież nie po to kończyłam studia, żeby siedzieć w domu i zajmować się dziećmi."* A tymczasem odkąd Cię znam, siedzisz w domu i właśnie zajmujesz się dziećmi. I wcale Cię to nie zubaża. Więc jak to jest?

Ania: W momencie, w którym pojawiło się pierwsze dziecko, rzeczywiście trudno mi było tak od razu się przestawić na bycie w domu, tym bardziej, że oprócz pracy byłam zaangażowana w Ruch "Światło - Życie", w spotkania z ludźmi, w różnego rodzaju rekolacje, które bardzo ubogacały mnie i innych. Natomiast pojawienie się dziecka wyła-

czyło mnie z tej aktywności, ale z czasem zobaczyłam, że przestało mi to przeszkadzać, rozumiałam, jak cenne jest dziecko, że ten mały człowiek jest najważniejszy. Wszystkie działania "na zewnątrz" na pewno są atrakcyjne i ubogacają nas, ale w momencie, w którym uświadomimy sobie, jakim darem jest dziecko, które ma wyrosnąć na człowieka, to okazuje się, że najważniejszym zadaniem jest danie mu wszystkiego czego ono potrzebuje. Bo skutki wszelkich braków są potem nieodwracalne i często tragiczne. Zresztą tego też się uczyć, nie tak od razu to rozumiałam i teraz, z perspektywy kilku lat małżeństwa i posiadania trzeciego dziecka jeszcze lepiej widzę, że dziecko jest takim skarbem, że warto wszystko poświęcić aby zapewnić mu maksimum miłości, troskliwości. Nie tylko potrzeb materialnych, ale właśnie duchowych, bo bez tego ono nie wyrośnie na pełnego, szczęśliwego człowieka i nie rozwinie w sobie tych talentów z którymi przychodzi na świat.

Lila: A jak to wszystko wygląda ze strony ojca rodziny, tego który jest jej żywicielem, tego który ma jej zapewnić pewien poziom materialny?

Piotr: "Wszystko", to znaczy co?

Lila: Te wszystkie sprawy o których mówiła Ania. Czym jest dla Ciebie rodzina?

Piotr: Jest również powołaniem, pięknym powołaniem i trudnym - tak zresztą, jak każde inne powołanie. Kiedy Ania była chora, mogłem się przekonać na własnej skórze, co to

ciąg dalszy na stronie 4

Piotr...

znaczy praca w domu, bo to jest jednak praca, ciężka i niewdzięczna. Na przykład kontakt z dziećmi - lubię z nimi przebywać, ale jak jest się z nimi ciągle, to nie jest tylko wesoła zabawa, ale szereg męczących obowiązków. Podczas choroby Ani, kiedy zdarzało mi się coś więcej w domu robić - to zawsze w czymś tam "szwankowałem". I dochodzę do wniosku, że jeśli Ania się w tym realizuje, to na drodze do świętości wiele już osiągnęła.

Lila: A jak odkryliście to, że waszym powołaniem jest małżeństwo? I jeszcze trudniejsze pytanie, jak odkryliście to, że jesteście stworzeni dla siebie? Przecież to pytanie zadaje sobie wiele ludzi.

Piotr: Wszystko byś chciała wiedzieć...

Lila: No, i ja i Czytelniczcy.

Ania: To zabrzmi bajkowo i nierealnie dla wielu ludzi, ale jest to prawda i myślę, że ten "problem" każdy może podobnie rozwiązać. W moim wypadku (bo Piotr będzie mówił za siebie) było to rozeznanie. Ja w pewnym momencie życia (w czasie studiów), poczułam, że muszę wiedzieć, co w życiu mam robić, bo zaczęło mi brakować konkretnej drogi, którą mam iść. Ponieważ kilka lat wcześniej zmienił się mój stosunek do wiary (zawsze byłam bardzo wierząca, ale wtedy zrozumiałam, że Chrystus jest mi Kimś bardzo bliskim, rzeczywistą Osobą) pytałam więc Boga "co mam czynić", chciałam rozpoznać moje powołanie. Muszę tu zaznaczyć, że byłam bardzo szczęśliwa jako osoba "wolna", mogłam dysponować czasem jak chciałam, stykać się z ludźmi, pomagać im, coś dla nich robić. Było to moja wielką radością, ale zaczęłam się bać, że podchodzę do tej sprawy zbyt uczuciowo i egoistycznie - po prostu

mnie jest tak dobrze więc po co to zmieniać. A przecież chodziło o moje życie i nie mogłam się pomylić - to zbyt wysoka stawka. Więc z całą ufnością zwróciłam się do Jezusa - wiedziałam, że On da mi poznać moje powołanie. Tu znów muszę zaznaczyć, że małżeństwo było ostatnią rzeczą, której chciałam, wydawało mi się czymś "gorszym" niż celibat świecki czy zakon. I samo zaakceptowanie faktu, że mogłabym być czyjąś żoną zajęło mi mnóstwo czasu - w moim otoczeniu nie było udanych małżeństw.

Sporo się "naszarpałam" zanim klasztor, celibat i małżeństwo uznałam za równe sobie, tym bardziej, że nie wierzyłam, że ktoś mnie może tak naprawdę pokochać. Wreszcie jednak uznałam, że i to przyjmę, jeśli Bóg chce (choć wołałam zakon). I wtedy właśnie "dostrzegłam" Piotra. Choć znaleźmy się od dawna - akurat wówczas zwróciłam na niego szczególną uwagę. Jakbym przeczuła, że to właśnie ta osoba. Potem to trwało długo, długo - jeszcze "badałam", "sprawdzałam", czy na pewno - ale okazało się, że tak.

Lila: No to niech teraz "Piotr mówi za siebie". Jak Piotr to odkrył?

Piotr: Podobnie. Może szokować Czytelników, że tak wiele mówimy o Bogu, ale to naprawdę tak było. Nie można bez Niego rozwiązywać tych najważniejszych spraw. Ja również spokoję osiągnąłem dopiero wtedy, gdy postawiłem sprawę tak: małżeństwo - dobrze, celibat świecki - dobrze, kapłaństwo - dobrze. Wtedy "dostrzegłem" Anię i zacząłem "badać" - ta czy nie ta. Bałem się, żeby nie skrzywdzić tej poważnej i wartościowej dziewczyny. Była wspaniała, dobrze mi z nią było - zakochałem się - ale nie chciałem jej "namieszać" w głowie. Gdyby się okazało, że nasz związek jest pomyłką - zbyt wczesne wyznanie mogłoby ją

zranić. Wiedziałem coś na ten temat, już wcześniej przeżywałem młodzieńcze zafascynowania, jakieś nieudane "próby" i nie chciałem powtarzać tych błędów - a w przeciwieństwie do Ani, która małżeństwo stawiała na ostatnim miejscu - dla mnie było ono początkowo na pierwszym, niemal za wszelką cenę dążyłem do niego. Ale w końcu "zmądrzałem" i postawiłem wszystko na równi, i wtedy ... zakochałem się.

Ania: To znaczy na początku była to głównie przyjaźń. Spotykaliśmy się i wspólnie coś robiliśmy. W tym właśnie czasie, nic o tym nie wiedząc, jedno drugie badało i badaliśmy sami siebie: czy to, co nas łączy, to tylko zauroczenie, zafascynowanie, czy prawdziwa miłość.

Piotr: Okazało się później, że "sposoby badania" mieliśmy podobne: na przykład modlitwa różańcowa w tej intencji.

Lila: Czy mam przez to rozumieć, że widzę oto przed sobą bardzo szczęśliwą rodzinę, w której nie ma absolutnie żadnych problemów, że wasza rodzina to idylla, sielanka, troje wspaniałych dzieci i w ogóle "zero nieporozumień?"

Ania: Nie, o nie. To jest właśnie taki przykry paradoks - to nie jest idylla ani sielanka. Tak sobie nawet myślałam z perspektywy lat ...

Piotr: ...prawie dziewięciu. W czerwcu będzie dziewięć..

Ania: Tak z perspektywy dziewięciu lat... widzę, że niestety (a może "stety") małżeństwo jest tym stanem, w którym mogą się ujawnić nasze najpiękniejsze cechy charakteru, ale z drugiej strony ujawniają się też te najgorsze. Jest to w sumie dość pozytywne, bo po co żyć w fałszu o sobie? Ja na przykład przedtem nie doświadczałam jakichś stanów gniewu, zdenerwowania, umiałam przebaczać - to wszystko było proste. Nie

mieściło mi się w głowie, że małżonkowie mogą się na siebie gniewać. Ale to nie znaczyło, że we mnie tego nie ma: po prostu nie było sytuacji, która by to ujawniła. W małżeństwie te sytuacje się pojawiały i to bardzo często. Wybuchają drobne co prawda sprzeczki, ale one się nawarstwiają - i powstają naprawdę czasem dramatyczne sytuacje, które mogą doprowadzić do zaniku miłości. Dlatego my oparliśmy się na Bogu. Wiedzieliśmy, że sami jesteśmy bardzo słabi i nic nie zrobimy. Dzięki Bogu nawet takie straszne chwile, w których nie potrafiłymi ze sobą rozmawiać obróciły się w dobro. Okazało się, że trudne, dramatyczne sytuacje i konflikty, które udało nam się rozwiązać jeszcze bardziej nas złączyły i ubogaciły. Ciągłe się uczymy siebie nawzajem i naszych dzieci.

Lila: Wiem, że po dziewięciu latach małżeństwa możecie z czystym sumieniem powiedzieć, że bardzo się kochacie i bardzo kochacie swoje dzieci. Zatem ostatnie pytanie - bardzo trudne, ostrzegam - czym jest miłość po dziewięciu latach mimo wszystko szczęśliwego małżeństwa?

Ania: To jest coś takiego, jakbyśmy zanurzali się w morze - fascynuje i zachwycza nas to na początku, ale im bardziej się zanurzamy tym widok jest piękniejszy, choć lęk i stress większy. Z naszym małżeństwem jest podobnie. To, na czym ludzie poprzestają - ta fascynacja uczuciowa, "zakochanie" - to tylko namiastka tego, co miłość małżeńska, rodzina może nam dać. Miłości uczymy się wciąż. Nawet te cierpienia, które sobie nawzajem zadajemy, o ile umiemy nad nimi przejść do porządku dziennego, uczą nas miłości. Przez to wchodzimy w głębię.

zakończenie na stronie 7

Za to przecież płaci Adam...

Lukasz Głowacki

Polacy przyzwyczaili się do bycia narodem ciemionym i zniewolonym. Początki naszej państwowości to okres gwałtu i przemocy - podbijania sąsiednich plemion. Czasy Korony Polskiej to ekspansja nasza bądź naszych sąsiadów. Rozbiory. Burzliwe, pełne jednak nadziei dwudziestolecie międzywojenne. Okupacja hitlerowska i bolszewicka. Kiedy komuniści "oddali władzę" w czerwcu 1989 roku nie miał już kto nas ciemnić. Staliśmy się narodem WOLNYM. Ta wolność objawiała się różnie - zaczęliśmy oglądać zachodnie programy telewizyjne, zjadać się francuskim pieczywem i szwajcarskimi jogurtami, tworzyć różnorakie ugrupowania polityczne. Zaczął powstawać wolny rynek - nie tylko towarów - także idei.

Jedyną instytucją, która przetrwała w Polsce wszelkie burze był Kościół Katolicki. Różne były jego losy. Raz hołubiony, raz znowu niszczony - przez ostatnie kilkadziesiąt lat był ostoją polskiej opozycji. Wrogość państwa do Kościoła była więc niemal usankcjonowana prawnie, a nieoficjalnie przejawiała się na każdym kroku. Ludzie utożsamiali się z Kościołem, bo był on oazą wolności, *"nie tylko miejscem, w którym głoszone prawdę, ale też sojusznikiem w walce o ustrojową zmianę w Polsce"* (Bronisław Geremek w wywiadzie dla Gazety Świątecznej z 14 listopada tego roku). Teraz "wolność" rozlała się po całym kraju, a "prawdę" głosi każdy, zgodnie zresztą z zasadami demokracji. Mamy wolny rynek idei. I teraz pytanie: Co wybierzesz w aptece: świetnie opakowane, smaczne, TANIE, reklamowane w massmediach lekarstwo

na ból zęba, czy tradycyjne acz drogie i TRUDNE DO PRZELKNIECIA zioła? Co wybierzesz w życiu: relatywizm moralny, swobodę wyboru "prawdy" czy Dziesięć Przykazań i obietnicę zbawienia kosztem wyrzeczeń? Pozostanie przy Kościele nie jest wyborem atrakcyjnym ani łatwym, stąd wielu odchodzi.

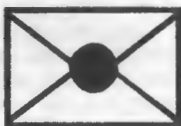
Wielu odchodzi jednak nie kierując się bynajmniej wygodą. Często przechodzą do wyznań i sekt, których reguły są trudniejsze do zaakceptowania - odnajdują tam jednak to, czego w Kościele odnaleźć nie mogli. Jest to ewidentnie winą tegoż Kościoła. Istniejących w nim nurtów, form duchowości jest naprawdę dużo - któż jednak z nas, zwykłych śmiertelników o tym wie? Dobrze, jeśli w szkole średniej trafimy na katechetę, który potrafi wykrzyć w nas głębokie potrzeby. Wówczas istnieje szansa, że spotkamy grupę naszych rówieśników szukających w ten sam sposób co my. Ale jeżeli nie będziemy mieli tego szczęścia? Obecnie jest dla młodych ludzi tak wiele propozycji ze strony przeróżnych środowisk, że Kościół musi wyjść do nich znacznie energiczniej, nie powinniśmy słyszeć: "Jeżeli chce to sam przyjdzie!" Bo odejdzie jeszcze więcej...

Od wieków odnajdywano w Kościele kapłanów, którzy grzeszyli więcej niż zwykli śmiertelnicy. Kładło to cień na Kościół, ale nie mogło mu zagrażać - wszędzie przecież znaleźć można czarną owcę, a ksiądz jest przede wszystkim człowiekiem. Wiernych podtrzymywały w wierze przykłady wspaniałych postaw tych, którzy zostawiali wszystko co mieli, aby służyć innym. Kapłanów, którzy byli wśród ludzi. Nie trzeba w

obecných czasach szukać daleko - młoda diecezja na wschodzie Polski, w której biskup mieszka w zwykłym, prostym pokoju i jada ze swoimi współpracownikami przy tym samym stole. Relacje, jakie istnieją między nimi, są zbudowane na prawdziwym szacunku do osoby, nie zaś piastowanej godności. Nasz Kościół jest pielgrzymujący, a na pielgrzymce wszyscy ponosimy ofiarę poświęcenia - jeżeli ktoś nie może iść, pomagają mu inni, silniejsi, w przeciwnym wypadku nie osiągniętego samego celu co my.

Nie możemy się obrażać, że Kościół jest atakowany. Od zarania swoich dziejów był przecież w takiej sytuacji - z tym, że czasem napastników było mniej niż obrońców, czasem to wrogowie właśnie przeważali. W obecnych czasach nie grozi nam "zagłaskanie" Kościoła i to jest jego szansa. Szansa na odnalezienie w sobie tego, co być może gdzieś "po drodze" umknęło naszej uwadze i teraz należy do tego wrócić. Powiedziałbym nawet, że sytuacja jest komfortowa - za pieniądze niechętnych Kościołowi udzielane nam są konsultacje - gdzie szukać można jego słabości. Pamiętajmy, że historia Kościoła Katolickiego rozpoczęła się w dniu Męki Chrystusa - jego siła bierze się z prześladowań, cierpień i Przykazania Miłości.

Lukasz Głowacki



Zapraszamy do dyskusji

Nasz adres:

Łódź, ulica Gogola 1, bl.316, m.125

Telefony w stopce

Imię Pan Protazy Siemaszko, skarbnik wileński, sporządził testament, w którym pisał:

"Wymaga też od narzeczonych sukcesorów pod warunkiem unięważnienia poczynionych na ich rzecz zapisów, aby skoro umrę, ciało moje wynieśli w nocy na cmentarz in cognito, kiedy moja żona i wszyscy będą spać, i mogiłę, w której je złożą, zrównali z ziemią, a przed moją żoną, panią skarbnikową wileńską, nic o tym nie powiadali, a to z tego powodu, ażeby jej pozbawić największej w życiu przyjemności, gdyż rzeczona małżonka moja w sporach a kontestacjach małżeńskich między nami często się odgrażała, że po mojej śmierci za wszystkie swoje jakoby cierpienia skakać będzie z radości na moim grobie".

"Sporo się naczarpałam"

zakończenie ze strony 5

Piotr: Na początku wszystko wydawało mi się takie łatwe i proste. Miłość też. Teraz dopiero rzeczywiście wchodzimy w głębię. Miłość stała się o wiele trudniejsza i o wiele piękniejsza. Uczucia oczywiście też są ale nie tylko one.

Lila: Jednym słowem:

*Rzadką jest perłą miłość prawdziwa,
Kochać bez miary - oto jej tarcza,
Wielkim się trudem miłość zdobywa,
A jeśli małym - to nic nie warta.*

Ania: Właśnie tak.

Lila: Dziękuję Wam bardzo za szczerość.

Ania i Piotr: Dziękujemy.

rozmowę przeprowadziła

Lila Nowacka

Dylematy moralne

Lila Nowacka

9 listopada br. w związku z trwającymi Dniami Kultury Chrześcijańskiej, Jerzy Kropiwnicki, minister - szef Centralnego Urzędu Planowania, był gościem DA "Piątka". Tematem jego rozważań miały być "Dylematy moralne w polityce gospodarczej państwa". Mówiąc szczerze, nie jestem pewna, czy długie (błyskotliwe, przyznaję, acz nieco chaotyczne) dywagacje ministra istotnie dotyczyły wzmiankowanych dylematów. Pan Kropiwnicki mówił wiele o swojej przeszłości, aby następnie przejść na temat społecznego nauczania Kościoła. (Z całym szacunkiem dla Pana ministra - nie tego po nim oczekiwałam, spotkana w DA całkowicie zaspokajają moje potrzeby w tym względzie. Minister - choćby i ZChN-u nie jest dla mnie najbardziej kompetentną osobą do wypowiedzi na ten temat). Po prawie dwugodzinnym wykładzie ministra nadszedł czas na zadawanie pytań. Ponieważ pewne pytanie do macierzystej partii naszego gościa mam gotowe od 4 czerwca br. a do niego samego od połowy lipca - nie dałam się zdystansować.

Lilka: Panie ministrze! Mam tutaj ostatni numer "Niedzieli" (numer 45 z 8 listopada '92 - przyp.pół), z artykułem "Z zapisków doświadczanego telewizzka". Otóż jest tu napisane, że Pan minister nie głosował ani "za" ani "przeciw" wnioskowi o honorowanie wartości chrześcijańskich w działalności programowej RTV. Czy mógłby Pan minister się do tego ustosunkować.

Minister: 7 listopada, a więc natychmiast po zapoznaniu się z tą notatką wysłałem faxem pismo następującej treści:

"Ksiądz Dr Ireneusz Skubiś, redaktor naczelny, "Niedziela"

Szanowny Księżu Redaktorze!

W związku z notatką (...) "Kto głosował i nie głosował", zawierającą analizę wyników głosowania nad wnioskiem o honorowanie systemu wartości chrześcijańskich w działalności programowej RTV, zawierającej (...) częściową listę imienną posłów, stwierdzam co następuje: Uważam, że błędna jest sugestia autora notatki, że jej treść, zawierająca liczbę głosów oddanych przez poszczególne kluby "za" i "przeciw" wnioskowi, oraz wstrzymujących się od głosowania i nie biorących udziału w głosowaniu, oraz uzupełniających

tę informację statystyczną listy nazwisk posłów, stanowią wystarczającą podstawę, by można było wszelkie komentarze pozostawić telewizzom. Sądzę, że autor mógłby taką opinię, czy też zalecenie sformułować po podjęciu choćby najmniejszej próby wyjaśnienia powodów nieobecności na sali w tym momencie osób, które wielokrotnie składały świadectwo uczestnictwa w walce o obecność wartości chrześcijańskich w telewizji. Autor notatki łatwo mógłby ustalić, że dokładnie w tym samym czasie, kiedy zarządzono owo głosowanie, poseł Jerzy Kropiwnicki (ZChN) przemawiał z tribuny senackiej (...). Ani termin debaty senackiej, ani moment głosowania w Sejmie, nie zależały od mojej dobrej czy złej woli. Na salę sejmową dotarłem w kilka minut po głosowaniu. Wiem, że conajmniej równie ważne przyczyny powodowały nieobecność innych posłów z listy opatrzonej tytułem "Nie głosował" (...). Zwracam się do Księdza Redaktora o wydrukowanie mego listu w następnym numerze "Niedzieli" (...)"

Lilka: Co zdecydowało, że Pan minister będąc ministrem w rządzie p.Jana Olszewskiego, tak przecież krątcowo różnym, wszedł do rządu Pani Premier Suchockiej, i w ogóle dlaczego ZChN zdecydował się wejść do koalicji?

Minister: Muszę przyznać, że to pytanie jest pytaniem, z którym osobiście miałem spore kłopoty (tak dalekie, że "zajechałem" z nimi do Watykanu, ale to moja osobista sprawa). Problem jest zupełnie inny. Pytanie brzmi: "Czy w ramach tego parlamentu mógłby być inny rząd?" Myślę, że nie. Konieczne byłoby rozpisanie nowych wyborów. Rząd Jana Olszewskiego, który mi pod wieloma względami o wiele bardziej odpowiadał, nie był w stanie przetrwać pół roku. Czy nowe wybory byłyby lepsze? Odpowiedź macie Państwo na Litwie. Komunistów nie jest raz mniej, raz więcej. Jest ich coraz mniej. Ale ich dyscyplina wewnętrzna jest ogromna. Oni idą na każde wybory. Jeśli na wyborach jest 100% frekwencji to oni stanowią 5%. Ale jeżeli frekwencja wynosi 10% - to wtedy 50%. I na tym polega dramat tej sytuacji. Nie mogliśmy dopuścić do władzy komunistów.

Lilka: Ale czy rząd Pana Premiera Olszewskiego upaść musiał? Czy upadłby,

gdyby zachowanie ZChN-u w dniu 4 czerwca tego roku było inne?
Minister: W tym pytaniu zawiera Pani pewnego rodzaju nieprawdę, dlatego, że gdyby Pani spytała w tym momencie Jana Olszewskiego, to Jan Olszewski powiedziałby Pani, że bardziej niż rodzima ówczesna jego partia (Porozumienie Centrum), ZChN do ostatniego momentu głosowania, tego rządu bronił i to bronił bardzo dramatycznie. To Pani pytanie zawiera w sobie nieprawdę.
Nie wiem co powiedziałby mi Jan Olszewski (choć nie tracę nadziei, że go kiedyś o to spytam), ja jednak obserwując bacznie relację z obrad Sejmu w nocy z 4 na 5 czerwca owej "bardzo dramatycznej obrony" nie zauważyłam. Nie tylko ja zresztą.



Po oficjalnym zakończeniu spotkania zadaliśmy ministrowi jeszcze kilka pytań. (Wywiad nie jest autoryzowany, ale użyte w nim słowo "pomocniczość" to neologizm autorstwa Jerzego Kropiwnickiego). Rozmawiali Lila Nowacka i Łukasz Głowacki.

Gadające głowy

Łukasz: Jakie są obecne prognozy dotyczące bezrobocia?

Minister: Rozumiem, że chodzi o prognozy na następny rok... Według prognoz najświeższych nie wygląda na to żeby bezrobocie przekroczyło w przyszłym roku około 3 mln osób. Przypominam, że to ta liczba, którą zakładano jako groźbę na rok obecny.

Łukasz: Czy podjęcie decyzji przez Sejm czy Trybunał i tym żeby przyznać przedłużone zasiłki dla bezrobotnych w obszarach o bezrobociu powyżej 10% spowoduje jakieś załamanie gospodarki i załamanie wzrostu, który obecnie obserwujemy?

Minister: Przypuszczam, że odbierze szansę podwignięcia się tym regionom, które naprawdę są dotknięte strukturalnym bezrobociem, a więc tam, gdzie bezrobocie sięga powyżej 20%

Lilka: Czy w przypadku podjęcia przez Sejm decyzji uniemożliwiającej rozwój gospodarczy zrezygnuje Pan z urzędu?

Minister: Proszę Pani, ja sądzę, że ten rząd powinien wówczas zrezygnować ze swojej misji, dlatego, że można dokonywać dosyć odważnego ruchu w dziedzinie gospodarki, bo ten ten program, który rząd przedstawił jest bardzo odważny, stanowi odejście od pewnego sposobu myślenia, który zdominował nasze życie gospodarcze w ciągu kilku poprzednich lat. Ja myślę, że odebranie szansy realizacji swego programu, właściwie wyczerpuje misję rządu.

Łukasz: Aktualnie sytuacja poprawia się. Czy obecny rząd jest w stanie przedstawić społeczeństwu obecny obraz i prognozy tak, aby dowiedziało się ono o poprawie wcześniej - zanim rząd zostanie zmuszony

do rezygnacji przez wzburzone społeczeństwo czy też Sejm?

Minister: Proszę Pana! W pańskim pytaniu zawarta jest pewna teza z którą ja się nie zgadzam, wobec tego nie jestem w stanie odpowiedzieć na pańskie pytanie. Niech Pan zada to pytanie bez żadnych tez, niezgodnych z moimi.

Łukasz: Dobrze. Wobec tego: sytuacja w Stanach Zjednoczonych. Obecnie recesja zmniejszyła się i pewne symptomy gospodarcze (podane już po wyborach prezydenckich) wskazały, że poczynania rządu Buscha były dobre i wpłynęły pozytywnie na gospodarkę. Czy aktualna poprawa sytuacji będzie odpowiednio przedstawiona przez rząd społeczeństwu. Czy będzie ono mogło zrozumieć, że sytuacja rzeczywiście jest lepsza?

Minister: Skąd ja mogę to wiedzieć? Ja mogę tylko mieć pod tym względem jedną nadzieję, że to społeczeństwo potrafi odróżnić prawdę od fałszu i oceniać informacje jakie otrzymuje. Obowiązkiem mojego urzędu jest dostarczanie rzetelnych informacji. Kłamstwo bardzo szybko jest demaskowane. Czy i w jaki sposób Sejm czy (szerzej biorąc) społeczeństwo z tej informacji skorzysta...ja wierzę, że skorzysta w sposób właściwy.

Lilka: A czy podejmując jakąś decyzję przyszłościową kieruje się Pan minister ekonomią, czy wspomnianymi przez Pana zasadami pomocniczości, solidarności i miłości?

Minister: Proszę Pani - jedno nie istnieje bez drugiego.

Lilka, Łukasz: Dziękujemy bardzo.

Absolwenckie drogi

Motywacje do pójścia na studia bywają różne. Jedni chcą odwiec służbę woj-skową (a obecnie w ogóle jej uniknąć), inni liczą na awans społeczny, a jeszcze inni po prostu nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Są tacy, którym rodzice kazali i tacy, którzy szukają w ten sposób współmałżonka (lub współmałżonki). Niektórym marzy się kariera naukowa lub artystyczna, a innym się zdaje, że studia dadzą im lepszy start w pracy zawodowej. Jest też grupka "wiecznych studentów", którzy obrali sobie taki sposób na życie (do niedawna był to także sposób na przeżycie, ale teraz gdy uczelnie każą sobie płacić za repety...)

Faktem jest, że w chwili otrzymania dyplomu człowiek nie staje się automatycznie inżynierem, nauczycielem, artystą czy lekarzem, a jedynie absolwentem wyższej uczelni upraw-nionym do pobierania zasiłku dla bezro-botnych przez ograniczony okres czasu. Obecnie rynek zatrudnienia w Łodzi jest w stanie wchłonąć każdą ilość "masażystek" i akwizytorów oraz trochę księgowych i ekspedientek, a także od czasu do czasu konkursowych dyrek-torów. Znaleźć pracę w innych zawo-dach, to kwestia szczęścia, uporu lub znajomości. Można oczywiście dać sobie samemu zatrudnienie przez założenie własnej firmy, ale w tym przypadku bez zaplecza finansowego, tradycji rodzinnych lub niebanalnego pomysłu trudno przebić się przez konkurencję.

Faktem jest również to, że studia (jakie są, takie są, ale) dają każdemu tyle, ile sam chce lub potrafi z nich wyciągnąć oraz czas na to, żeby się zastanowić, co tak naprawdę chce się w życiu robić. Na przykład Adam od początku wiedział, że chce być elektronikiem. Na podstawie umiejętności wyniesionych z technikumi, przez cały okres studiów na

Wydziale Elektrycznym PŁ składał i na-prawiał rozmaite urządzenia, a w kilka dni po złożeniu egzaminu dyplomowego był już w Kanadzie. Dość szybko zna-lazł tam stałą pracę w serwisie sprzętu elektronicznego dzięki swej wiedzy praktycznej, a nie dzięki ocenie bardzo dobrej na dyplomie. Było to jednak kilka lat temu, kiedy (jeśli człowiek już się gdzieś tam zaczępił) otrzymanie karty stałego pobytu nie było dużym problemem.

Teraz wyjazdy zarobkowe na Zachód nie są tak atrakcyjne jak dawniej. Skończyły się ażyle polityczne, a ekono-micznych (na razie) nie udzielają. Również wycieczki turystyczno-handlo-we przestały być opłacalne od kiedy państwo położyło na nich swoją łapę w postaci ceł i podatków, a ceny krajowe dogoniły zachodnioeuropejskie. Zresztą interes przejmują po nas bardziej zdespe-rowani i lepiej zorganizowani (mafie) wschodni sąsiedzi.

Hanka ukończywszy uniwersytecką ekonomię, została na uczelni. Ponieważ praca tam nie satysfakcjonowała jej fi-nansowo i zawodowo, postanowiła prze-rzucić się na handel "turystyczny", ale podczas swej pierwszej podróży do Grecji została okradziona. Wróciła z "kwitkiem" i jeszcze z długami. Żeby je spłacić, zaczęła szyć chatupniczo. Ledwo oddała jedne długi, zaciągnęła następne, żeby otworzyć przyzakładowy sklepik w podłódzkiej miejscowości. Sklepik upadł, a ona znowu odrabiała długi jako szwaczka. W międzyczasie zabrała się ostro za zaniedbane podczas studiów języki obce i w końcu znalazła pracę jako sekretarka w jakiejś drobnej firmie handlowej. Z kolei Edyta po uniwersyteckiej matematyce zatrudniła się w księgowości jednej z dużych firm produkcyjno-handlowych, ale nieprzy-

jemne doświadczenia sprawiły, że wróciła na uczelnię. Teraz ma osiem lat na zrobienie doktoratu i musi dorabiać pisaniem programów. Musi też założyć własną firmę, bo za dużo traci na pośrednictwie.

Bodzio natomiast jeszcze podczas studiów na Wydziale Elektrycznym PŁ założył z kumplem firmę, dla rozkręcenia której wziął urlop. Była to jedna z pierwszych firm (o modnej nazwie: "marketingowo-consultingowa") zajmujących się instruktażami i szkoleniami dla przedsiębiorców zdezorientowanych ciągle zmieniającymi się przepisami oraz przedsiębiorstw państwowych chcących ominąć śp "popiwiek". Podążając za zmianami uwarunkowań ekonomiczno-prawnych, firma przekształciła się w agencję promocyjno-handlową i jej sukcesem jest już to, że utrzymuje się na rynku i jest dochodowa na tyle, że Bodzio nawet nie myśli o powrocie do zawodu.

Weźmy z innej beczki. Włodek podczas studiów na Wydziale Grafiki PWSSP "miał kota" na punkcie przepisów na różnorodne media malarskie. Te alchemiczne zgoła zainteresowania zdawały się być zupełnie bezużyteczne, dopóki życiowy traf nie sprawił, że spotkał Grzeska, który był z kolei chemikiem-pasjonatem i po skończeniu studiów został na uczelni. Współpraca plastyka z chemikiem zaowocowała (po okresie eksperymentów i badań) wyprodukowaniem wysokiej jakości odczynników malarskich, które właśnie wchodziły na rynek.

Marek kończąc Wydział Elektryczny PŁ wiedział, że nie chce zostać na uczelni. Nie tylko ze względów finansowych, ale głównie dlatego, że interesowało go wiele innych rzeczy. Częściowo dzięki znajomościom znalazł pracę w państwowym serwisie aparatury medycznej. Jednakże nim zdążył się całkowicie wdrożyć, zakład "przekształcił się własnościowo" zwalniając naj-

bardziej "deficytowych" pracowników. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności (ale również na skutek energicznych poszukiwań) został zatrudniony "z ogłoszenia" jako operator komputera w wydawnictwie prasowym. Bardzo przydała mu się przy tym praktyka wyniesiona z uczelni (obsługa komputera) oraz z... wojska, gdzie redagował półlegalną gazetkę środowiskową Szkoły Podchorążych Rezerwy. Razem z nim pracuje w tym samym dziale anglistka, matematyk, geodeta, ekonomista i inżynier lotnictwa.

Jak widać, absolwenckie drogi wyglądają bardzo różnie, ale nigdy tak, jak by to sobie człowiek wyobrażał przed studiami, czy nawet je kończąc. Szkoły wyższe dają bardzo cenną umiejętność znajdowania odpowiednich informacji w gąszczu kulturalno-naukowego dorobku naszej cywilizacji, ale nie uczą tego, co okazuje się być bardzo ważne w czasach obecnych, czyli - jak najlepiej sprzedać swój produkt lub usługę albo siebie jako pracownika. Teraz same papiery nie wystarczą. Nie da się ściągnąć, ani podłożyć "gotowca", a wodolejstwo nie jest mile widziane.

Z dwóch skrajnych podejść do studiów, obecnie zdaje się być bardziej korzystne pod względem znalezienia później pracy to, które daje (choćby pobieżną) wiedzę "o wszystkim", aniżeli podejście nastawione na dogłębną, ale wąską specjalizację. Teoretycznie jest to uwzględnione w założeniach programów kształcenia większości wyższych uczelni, ale praktyka edukacyjnego molocha (z uwagi na jego ogromną bezwładność i ograniczenia finansowe) nie nadąża za szybko zmieniającą się rzeczywistością społeczno-ekonomiczną i naukowo-techniczną.

Marek Głowacki

POD CHOINKĘ

czyli słów parę o prezentach

Wigilia Bożego narodzenia. Czas radości rodzinnego spotkania przy wspólnym stole, może jednego z nielicznych, może nawet jedyne w ciągu roku. Czas świętowania. Czas dawania i otrzymywania prezentów...

Od wczesnego dzieciństwa większość z nas (o ile nie wszyscy) wyczekiwaliśmy tego wieczoru głównie ze względu na ową upragnioną chwilę, kiedy do drzwi zapuka Święty Mikołaj albo nagle okaże się, że na słomiance leży Wielki Wór Prezentów. Potem można się było chwalić koleżankom albo kolegom w szkole, co kto dostał. Ofiarodawcy niknęli gdzieś za zwalistą sylwetką "Świętego" w czerwonym płaszczu i z długą, białą brodą z waty.

Z biegiem lat RADOŚĆ z otrzymanych PREZENTÓW zaczynała w nas ustępować miejsca radości z BYCIA OBDAROWANYM, z faktu istnienia KOGOŚ, kto chciał nam coś dać. To przesunięcie punktu ciężkości dokonuje się niewątpliwie powoli i często trzeba dużego wysiłku (zwłaszcza na początku), by za darem dostrzec osobę. Pół biedy, gdy jest to ktoś, kogo cenimy, lubimy czy kochamy; wówczas każdy ofiarowany przez niego drobiazg będzie go nam przypominał. Gorzej, jeśli czasem odzywa się w nas ta dziecięca tendencja i oceniamy obdarowywanego na podstawie swoistej "wyceny" daru, której - całkowicie subiektywnie - dokonujemy. Najgorzej jednak, gdy tego, co podarowane w ogóle nie dostrzegamy...

A tak często wręcz lekceważymy dary bardzo podstawowe i osobiste, przeznaczone konkretnie dla mnie! Stworzenie: moje życie - to czasem trudne, czasem nudne, czasem wymagające albo przebiegające przez palce, ale zawsze życie, które JEST i które jest MOJĄ dzierżawą. Stworzenie: to wszystko, co stanowi jak najszerzej pojęte środowisko, w którym

przebywam, żyję, uczę się, modłę, kocham... Czasem sobie już nie wyobrażam, że wszystkiego - oprócz Boga - mogło by po prostu nie być: tych ludzi, ptaków, gór, kwiatów, domów, tych obrazów, rzeźb, uczuć, książek, filmów, wierszy... Całego świata! Odkupienie: dar chyba najsilniej przywoływany własnie przez wspomnienie tego wieczoru: to dla odpuszczenia moich grzechów (ale nie przy okazji pośród miliardów innych grzeszników, tylko CELOWO DLA MNIE!!!!) Jezus rozciągnie ręce na Drzewie Krzyża i aby to się stało, dziś rodzi się w grocie w Betlejem. Moje życie w perspektywie wieczności - zaprzepaszczone, gdy poczułem się jego panem absolutnym, a nie dzierżawcą - może się odrodzić!

Wdzięczność to świadomość bycia obdarowanym. Serce przepełnione wdzięcznością kieruje się często ku wielu osobom, niekoniecznie bezpośrednio związanym z darem, który je pobudził. Może się ona wyrażać na tysiące różnych sposobów. Czasem jest to życzliwość chowana w sercu, czasem prosta pamięć w modlitwie, czasem pragnienie podarowania komuś jakiegoś drobiazgu... (Ale nigdy jako rewanż: dostałem, daję - i jesteśmy kwita! Dar nie domaga się rewanżu!). Czasem zaś darem jesteśmy my sami...

Może Boże Narodzenie to dobry czas, by spokojnie przyjrzeć się WSZYSTKIEMU, co otrzymaliśmy od Boga i od ludzi - na tyle, na ile umiemy - i uczciwie spytać w sumieniu siebie samego: jak wygląda moja wdzięczność? jak powinna wyglądać? Kto wie, czy nie dostrzeczemy, jak powinniśmy zapisać nasze imiona w Księdze Życia?

Tomek Piotrowicz

Nie zjem cię...

Marta
Rospendkówna

Pięć lat temu przeczytałam pewną książkę, w której jeden rozdział poświęcony był hodowli i ubojowi zwierząt. Od tego czasu nie wzięłam mięsa do ust. Potem byłam niemal świadkiem zamęczenia konia przez kierownika stadniny. Po Colombo, bo tak nazywał się konik, przyjechał samochód z zakładu rzeźniczego. Półtora roku temu mój przyjaciel opisywał w liście swoje spotkanie z płaczącym, prowadzonym na śmierć, cielakiem, który wcale nie chciał umierać.

A więc z jednej strony zwykłe obrzydzenie, z drugiej - współczucie dla bezbronnych zwierząt dało początek mojej przygodzie z wegetarianizmem, przygodzie, która już mnie wiele nauczyła, sporo spraw uświadomiła, i z którą jest mi naprawdę dobrze.

Wegetarianizm to nie tylko dieta. To także, a może przede wszystkim, styl bycia. G.B. Shaw powiedział: *"Zwierzęta są moimi przyjaciółmi, a ja przyjaciół nie jadam."* To jest motto mojego wegetarianizmu, u podstaw którego leży szacunek dla przyrody, nie tylko zwierząt. Wegetarianin nabiera delikatności, wrażliwości, staje się bardziej otwarty na naturę, "pokochuje ją". Pewien młody wegetarianin nie zerwał dla swej dziewczyny (także wegetarianki) kwiatka w czasie wakacji: "Kwiaty nie rosną po to, aby je zrywać." Woleli na nie razem popatrzeć i w ten sposób ofiarowywać je sobie nawzajem.

Z drugiej strony zmieniłam swój stosunek do tzw. "robali" wszelkiej maści. Kiedyś zobaczywszy w namiocie "szczypawkę" lub pajaka niewiele się zastanawiałam, wydawałam na nie wyrok śmierci i albo wykonywałam go sama, albo pozostawiałam to jakiemuś mężczyźnie. Teraz po prostu wynoszę niechcianego gościa. Nie wymaga to wielkiego wysiłku ani odwagi. Dlaczego więc czasami ludzie patrzają na mnie w takiej sytuacji ironicznie? Bardzo modna jest teraz ochrona środowiska, przede wszystkim wśród młodych. Ale jak można być ekologiem, gdy nie ma się szacunku dla przyrody i nawyku ratowania najmniejszych nawet jej części? Gdybyśmy się tego nauczyli, być może nie byłoby idiotycznych pomysłów zabetonowania Bieszczad...?

Człowiek jest podobno istotą rozumną. Poznał mnóstwo tajemnic świata i kosmosu. Ale nie chce zainteresować się samym sobą, swoim organizmem. Zostawia to specjalistom. Narzeka na choroby, ale niewiele robi,

by ich uniknąć. Wegetarianizm zmusza człowieka do wysiłku. Musi on poznać swoje potrzeby i możliwości związane z żywieniem. Odstawiając mięso zmuszony jest trochę pogłównować - jak je zastąpić w codziennym menu, aby niczego nie zabrakło, aby organizm mógł sprawnie funkcjonować. Wegetarianin współpracuje ze swoim ciałem, nie stawia przed nim zadań nie do pokonania, rozumie je i kocha. Żyje świadom tego, co się w nim i z nim dzieje. Wydaje mi się, że jest to bardzo istotna sprawa w dobie zafascynowania techniką: od nowa poznać i zaakceptować siebie. Ale to wymaga wysiłku, czasu i odrobiny serca.

Coraz częściej mówi się w świecie naukowców o tym, że należy znacznie ograniczyć ilość spożywanego mięsa, lub całkiem z niego zrezygnować. Myśląc o sobie decyduję się na wyeliminowanie potraw mięsnych z mojego jadłospisu. Po prostu bardzo boję się chorób wieńcowych, nowotworów, a więc tzw. chorób XX wieku. Chcę być zdrowa!

Na początku mojej przygody z wegetarianizmem mój zapal doszedł do tego, że postanowiłam stworzyć teologię wegetarianizmu. Ale, na szczęście, już na początku Biblii, w Księdze Rodzaju moja teoria padła. Coś tu się nie zgadzało z Kainem i Ablem. Teologia wegetarianizmu bowiem zamyka się w przykazaniu miłości samego siebie. Miłości, której elementem jest szacunek do własnego zdrowia.

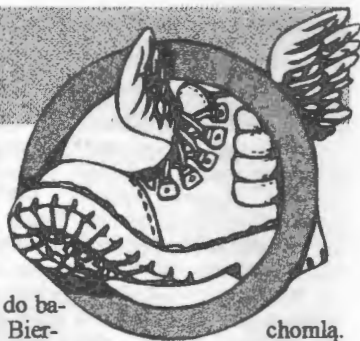
Wegetarianizm zawsze wzbudza zainteresowanie. Często pozytywne, ale też i negatywne. Pewien młody ignorant stwierdził kiedyś, że wegetarianizm to choroba psychiczna. Ludzie mają różne zarzuty: że to niezdrowe, dziwactwo, a nawet (!) brak manier, gdy na przyjęciu ograniczam się do potraw bezmięsnych. Ludziska psioczą, czasem wyśmiewają, a z drugiej strony są tego bardzo ciekawi. Na mojej Studniówce były specjalnie dla wegetarian przygotowane potrawy. Oczywiście nasz stół wzbudził ogromne zainteresowanie. Z radością, ale i ze złością, patrzyłam na powszechną degustację naszych pyszności. W liceum zawsze byłam bezlitośnie objadana z moich wegetariańskich kanapek.

Ale ogólnie nie mam na co narzekać. Fajnie jest być wegetarianką. A może i Ty spróbujesz?

Tuptuż

redaguje Bogusia Kulicka

Wycieczka w Beskid Sądecki Pasma Jaworzyny Krynickiej



W czwartek wieczorem wsiadamy w pociąg relacji Łódź Kaliska - Krynica (odjazd godzina 19.48) i jedziemy nim aż do samego końca.

W piątek rano możemy się wybrać na wschód słońca na Górę Parkową. Jeśli ktoś nie chce męczyć się wchodzeniem, może wjechać na górę kolejką linowo-szynową, a czas oczekiwania na pierwszy kurs zapłacić zwiedzaniem uzdrowiska (jednego z najśłynniejszych w Polsce).

Potem można podreptać zielonym szlakiem do Diabelskiego Kamienia, a wymyśliwszy legendę o nim, wstąpić do schroniska pod Jaworzyną Krynicką na pyszny obiad (z zapasów własnych). Po napełnieniu brzusków nie zapadamy w poobiednią drzemkę, lecz żądni nowych wrażeń i widoków, nie bojąc się śniegowych zasp i przesywającego wiatru, wspinamy się na szczyt Jaworzyny Krynickiej. Po dotknięciu repera możemy uznać, że znajdujemy się na wysokości 1114 m n.p.m. i już wyżej w pasmie Beskidu Krynickiego wejść nie możemy. Zadowoleni jak po zdobyciu Czomolungmy spadamy do schroniska na "tańce, hulanki, swawole".

W sobotę rano zarzucamy "garby" na plecy i wyruszamy na mały spacer czerwonym szlakiem (głównym zachodniobeskidzkiem) na Runek (wysokość 1080 m n.p.m.). Tu pozostawiamy czerwone znaki i dalej idziemy za

niebieskimi do baczówki nad Bierchomlą. Tu urządzamy popas, zrzucamy plecaki i wędrujemy dalej niebieskim szlakiem na Jaworzynkę i Pustą Wielką. Poszukawszy zasuszonych jagód i obejrzawszy okolicę możemy wrócić tą samą drogą do ciepłutkiej baczówki.

W niedzielę rzuciwszy po raz ostatni okiem na widniejące w dali Tatry schodzimy najpierw drogą, a potem niestety asfaltem do Szczawnika. Tam nie możemy nie obejrzeć pięknej drewnianej zachodniotemkowskiej cerkiewki i nie napić się wody mineralnej niezwyklej mocy ze źródła za cerkiewką. Zauroczeni jedną cerkiewką szukamy następnej. Znajdujemy ją w pobliskim Złockiem. Z pięknem ekostanu w oczach schodzimy do Muszyny. Po drodze możemy jeszcze wejść na Górę Zamkową z malowniczymi ruinami średnio-wiecznego zamku. W Muszynie oglądamy unikatowy barokowy kościół obronny i drepemy na dworzec, żeby rozejrzeć się za pociągami do Łodzi. Rozglądamy się skutecznie, bo w poniedziałek musimy wypić świeże mleko od pabianickiej krowy, a kolejarze nie wiedzą o Waszych planach.

Udział w niedzielnej mszy świętej możemy wziąć w Szczawniku, Złockiem lub Muszynie.

Grubych podęszwi

Grzegorz Maszkowski - Podobno...

Podobno w tym roku znowu ma przyjść zima. Piszę "podobno", bo czasy zrobiły się jakieś takie niepewne. Artyleria prasowa wciąż bombarduje nas informacjami o facetach, którzy z bezwzględnyimi twarzami wycinają "płuca Ziemi" (lasy strefy okolorównikowej) albo o goniących za modą damach, które bez drgnienia powieki traktują ozonofery gazem obezwładniającym ("dziury ozonowe" spowodowane są stosowaniem spray'ów - nie tylko tych wypełnionych freonami). "Badylarze" wszystkich przedmiotów zastanawiają się, cóż z takiego, ów "efekt cieplarniany" (zwany również "szklarnianym"). A my, szarzy ludczkowie, zrywamy się, jak zwykle w "środku nocy", by zdążyć na wykład o 8.15. I tylko czasem spoglądamy rozespanym wzrokiem na czapę chmur otulającą nasze miasto z nadzieją dostrzeżenia pierwszych oznak prawdziwej zimy. Zimy stojącej pod znakiem Świąt Bożego Narodzenia (świąt najbardziej rodzinnych), Mikołaja (nie tylko dzieci lubią dostawać prezenty), Sylwestra (choćby w Wiedniu...), lepienia bałwana (nos koniecznie z marchewki), kulig (z drewnianymi saniami ciągniętymi przez parę koni), wieczorów przy ciepłym kominku (z gitarą i prawdziwymi przyjaciółmi).

Ale przecież to nie od nas zależy, czy będzie i jaka będzie tegoroczna zima, jaka będzie wiosna w przyszłym roku, jaka będzie przyszłość nas i planety, na której żyjemy. No, chyba że się mylę...

Podobno w tym roku znowu ma przyjść zima. Piszę "podobno", bo czasy zrobiły się jakieś takie niepewne...

Kultura

redaguje Paulina Michalak



Jeśli masz wolną chwilę, chciałbyś obejrzeć coś ciekawego w dobrym stylu odradzam Ci film w reżyserii Wł. Pasikowskiego pt. "Psy". Jego akcja rozgrywa się wiosną roku 1990 w Polsce w czasie przeprowadzania weryfikacji pracowników MO i SB. Miał to być prawdziwy obraz naszej brutalnej rzeczywistości, świat polskich i rosyjskich mafii, gdzie trup się ściele gęsto i często. Film sensacyjny z "tymi twardymi facetami" z amerykańskich filmów. Oczywiście nie pominięto romanisu, który zmienia w gierki w trójkacie, którym charakter nadaje bardzo pretensjonalna kobietka. Cóż, po tak obszerным wstępie chcę sprecyzować konkretne zarzuty. Film mimo wartkiej akcji nie do końca jest opowieścią prawdziwą. SB-cy są tu poszkodowanymi, najbardziej cierpiącymi i wrażliwymi istotami, którym, o zgrozo odbiera się posesję, stanowiska. Częstokroć wiąże się to z rozpadem małżeństw, co nadaje bardzo melodramatyczny i ekliwy charakter.

Film, w którym widzimy krew od pierwszych ujęć, przestaje być tak atrakcyjny już w środku. Wiadomo, że mogą być pogwałcone wszystkie zasady etyczne, łącząc z tą, że nie kopie się leżącego. Film nie pobudza do głębszych refleksji, jedynie wychodząc z kina możemy czuć obawę, że ktoś załatwi nas z kałasznikowa lub oberwiemy cegłą w potylicę. Rozumiem, fabuła nie musi się odwoływać do konkretnie polskiej rzeczywistości, gdyż może być to wszystko tylko sfabularyzowaną powieścią osadzoną w realiach jakiegoś państwa na wschód od Niemiec. Jednakże dialogi nie mogą obronić się niezależnością, gdyż są wpisane konkretnie w nasze ulice, nasze życie, tylko że o spaczonym profilu. Jedynie muzyka, skomponowana przez Michała Lorenca ratuje ten film. Przede wszystkim dla niej wysiedziałam do końca w fotelu kina "Bałtyk".

*"Każdy twórca musi mieć coś z wrażliwości dziecka
Jego praca jest rodzajem zabawy"*
J. Józefowicz

Przyznam już na wstępie, że nie potrafię obiektywnie ustosunkować się do "Metra", spektaklu Janusza Józefowicza z muzyką Janusza Stokłosa. Kiedy 2 lata temu usłyszałam o naborze do tego musicalu chciałam rzucić wszystko i jechać na eliminacje. Losy potoczyły się inaczej, ale obejrzenie gotowego "produktu" sprawiło mi wiele przyjemności i satysfakcji.

Pomysłodawcy tego przedsięwzięcia zorganizowali grupę młodych ludzi - amatorów licząc na poznanie nowego sposobu działania w profesjonalnym polskim teatrze. Aktor musicalowy musi umieć tańczyć, śpiewać; tego uczyli się młodzi adepci przez blisko 12 miesięcy prób, gdyż większość z nich nie ma dyplomu szkoły teatralnej. Ze sceny technicznie jakaś prawda, a przede wszystkim chęć zrobienia czegoś wielkiego. Zacytuję może fragment wypowiedzi reżysera musicalu J. Józefowicza *"Przedstawienie jest sumą wrażliwości grupy ludzi. Współpracują oni z reżyserem, nie są manekinami wykonującymi tylko jego polecenia. Reżyser próbuje wprowadzić aktorów na pewną 'częstotliwość'". Jeśli mu się to uda, można mówić o zespoleniu umiejętności i chęci*.

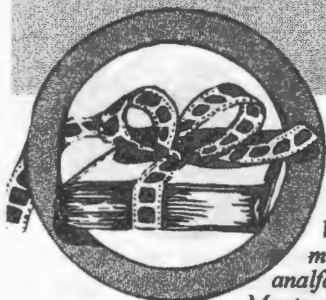
Szczerze zachęcam do obejrzenia tego spektaklu, zwłaszcza że łodzenie mogą się już nim zachwycać na dużej scenie Teatru Wielkiego przy Pl. Dąbrowskiego.

Do nabycia są kasety ze świetnymi piosenkami musicalowymi, które oddają klimat "Metra".

obie recenzje są autorstwa

Bogny Królikiewicz

Tylko dla kobiet



Kiedy byłam małą dziewczynką, zajęłam się "Anią z Zielonego Wzgórza" tylko dlatego, że nie umiałam czytać. Czułam, że muszę uwolnić moją rodzinę od kompleksów (byłam przecież analfabatką). Podsunęto mi pierwszy tom powieści Lucy Maud Montgomery. Wykorzystałam to, ale nie przypuszczałam, że wynajdywanie dalszych części stanie się moją obsesją. Zaczęłam wartościować znajomych i doceniałam tylko tych, których ciekawiły losy Ani Shirley. Stałam się jej wielbicielek, choć nie fanatyczką. Korzystałam przecież z książek indiańskich, które przygotowywały mnie do życia we wspólnocie. Nie przeszkadzało mi to jednak marzyć o facjacie, muślinowych sukienkach z bufkami i o Gilbercie...

Tymczasem wyrosłam; dzięki upływowi czasu mogę w dowolnej minucie życia wyjść za mąż i postanowiłam ofiarować mojej córeczce komplet książek o Ani (dlatego muszę mieć córeczkę). Są to książki nader dydaktyczne i odpowiednie dla młodych panienek. Pobudzają wyobraźnię, kształtują gust, opowiadają o wartościach wyznawanych i wyśmiewanych, uświadamiają, że można żyć z własnymi defektami i cieszyć się z tego, co się dostało.

Piegowata i gadatliwa Ania jest bohaterką świeżo wynscenizowanego spektaklu w Teatrze Powszechnym, wyreżyserowanego przez Macieja Korwiną. Maciej Pawłowski skomponował muzykę, zaś Maciej Wojtyśko napisał teksty piosenek. Premiera pierwszej obsady jest przewidziana na 4 grudnia o godzinie 17.00 (Ania - Małgorzata Flegel, Diana - Ewa Tucholska, Gilbert - Mirosław Siedler); premiera drugiej obsady - na 5 grudnia (Anna-Gabriela Muskata PWSFTViT, Diana - Katarzyna Krzyszkowska PWSFTViT, Gilbert - Jacek Kopczyński PWSFTViT). Wzrost publiczności na spektaklach przedpremierowych dochodził do 300 metrów i 120 cm nad poziomem morza. Byli to ludzie mali, ale po opuszczeniu teatru - usatysfakcjonowani.

Prorokuję tej sztuce długi żywot sceniczny, bo będą ją oglądały babcie, mamy, córki i wnuczki. Pochwalam scenariusz (wierny autorce), piosenki (choć nie zachwycalam się ich wykonaniem), a oczarował mnie ogólny wizerunek i baletochórek z domieszką studentów ze szkoły teatralnej (m.in. Małgorzata Kalamat i Gabriela Muskata). Niepokojąco wypadła Ewa Tucholska w roli Diany. W czasach szkolnych uznano ją za popularną i po dyplomie zaangażowano do Teatru Powszechnego. Jeszcze nie razi sztucznością, ale ma ku temu znakomite podstawy. A szkoda, bo dykcję wypracowała, zaangażowanie teatralne posiadała i zawsze ładnie tańczyła, lecz jestem za aktorem-człowiekiem, nie za aktorem - urzędzeniem służącym do właściwej wymowy i artykulacji.

Powiadają, że druga obsada jest lepsza niż pierwsza... Na szczęście obie śpiewają w finale, że "dopóki będą rosły Anie (...) warto jest żyć (...) radośnie, jak najdłużej!"
I to jest prawda, to jest fakt"

Pipi

koniec numeru pierwszego,
miejmy nadzieję - nie ostatniego

timszel

miesięcznik akademicki
numer pierwszy, rok pierwszy
3 grudnia 1992

adres redakcji
Łódź, ul. Gogola 1, bl. 316, m. 125
telefon 48-05-04 lub 73-05-04

zespół redakcyjny:
Łukasz Głowacki (redaktor naczelny)
Lila Nowacka (z-ca red. nacz.)
Daria Rospendeck (z-ca red. nacz.)
Andrzej Wardak (członek kolegium)
Marta Rospendkówna (sekretnarz)
Bogusia Kulicka (Tupniał)
Paulina Michalak (dział kultury)
Agata Bakalarz (Puchy)
Sylvia Woźniak (Puchy)

współpraca
Kasia Krajewska (szaleństwa plastyczne)
Bogna Królikiewicz (dział kultury)
Grzegorz Mazkowski
Tomek Piotrowicz (Lyon)
Marek Głowacki

Zamieszczone w numerze artykuły nie muszą odzwierciedlać zdania całej reakcji, niemniej jednak objęte są ochroną praw autorskich, a autorzy są ubezpieczeni od nieszczęśliwych wypadków.